OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM.

CENA 30 GROSZY

PAX

O CHRZEŚCIJAŃSKĄ KULTURĘ JUTRA

DWUTYGODNIK 15 LUTY 1936 NR 3 ROK IV

JÓZEF ŚWIĘCICKI

POSZUKIWANIE PROGRAMU

(Rozpoczynamy dyskusję)

Katolicyzm a polityka

Katolicyzm nie jest programem politycznym. Z katolicyzmu nie można wyprowadzać żadnych koncepcyj ustrojowo-gospodarczych bez narażenia się na konflikt bądź z zasadami wiary, bądź z poczuciem rzeczywistości w życiu społecznem.

Przekonanie odwrotne tych, co usiłują z katolicyzmu uczynić program polityczny, jest mojem zdaniem jedną z najszkodliwszych herezyj naszych czasów i prowadzi albo do daleko idących skrajności np. komunizmu (konflikt z zasadami wiary) albo do zupełnej bezradności politycznej, jaką objawiają ruchy chrześcijańsko-społeczne, pretendujące do budowania nowego katolickiego ustroju gospodarczego (konflikt z poczuciem rzeczywistości, zakłamanie).

Wartość społeczna i polityczna katolicyzmu polega na tem, że nie stanowi on programu politycznego czy społecznego, że nie jest hasłem, któremby jakaś partja polityczna mogła wycierać sobie usta zbyt długo i zbyt bezkarnie. Katolicyzm w swej czystej formie, nieskażony ujęciami politykierów, kupczących jego autorytetem, jest uniwersalny. Może pomieścić w sobie nieskończoną ilość różnych programów, zgodnych z zasadami. A inne przynajmniej potrafi zrozumieć.

Wartość pozytywna katolicyzmu w polityce polega właśnie na tem, że nie daje on żadnych *szczegółowych* wskazań pozytywnych. Jest pozytywny tylko we wskazywaniu ostatecznych celów. Natomiast istotną częścią programu każdej partji politycznej są środki do realizacji celów. Cele dalsze, ostateczne najczęściej są wspólne nawet u wzajemnie zwalczających się partyj. Cele bliższe mogą być bez szkody dla dalszych rozumowań przyrównane do środków, środki — do metod. W dziedzinie środków i metod katolicyzm niczego nie zaleca, natomiast wielu rzeczy zabrania i stąd płynie jego negatywny stosunek do szeregu programów politycznych.

Między Wschodem i Zachodem

Dwa najpotężniejsze dziś ruchy polityczne — komunizm i narodowy socjalizm nie czynią zadość wymaganiom katolika uniwersalisty ani w swych celach ani środkach. To są kierunki skrajne, ale jasne i konsekwentne. Inne prądy dzisiejsze, zwłaszcza u nas, są mało skrystalizowane w wielu najpoważniejszych dziedzinach (np. problemy społeczno-gospodarcze). To też rodzi się wśród katolików ogólne poczucie konieczności stworzenia programu politycznego. Nie „katolickiego" programu w sensie programu powszechnego Kościoła katolickiego, a choćby nawet Kościoła w Polsce, bo to jest zupełnie niemożliwe, ale takiego programu, któryby był zgodny z nauką katolicyzmu w swych ostatecznych celach, a nie był sprzeczny w swych środkach i metodach.

Bronienie dawnego porządku, wszelki polityczny konserwatyzm jest wykluczony. Dzień dzisiejszy ma się ku wieczorowi, a jutro, *o ile nie zjawi się coś trzeciego*, będzie albo komunistyczne, albo narodowo-socjalistyczne. Katolikom uniwersalistom nie odpowiada żadna z dwóch przewidywanych alternatyw, a tertium podobno non datur.

Futuri providentia est fundamentum sapientiae. Przewidywanie przyszłości powinno sięgać dalej, niż przyszłość najbliższa, przyszłość łatwa do odgadnięcia z obecnego układu sił politycznych. Musi ono uwzględniać dynamikę rodzących się kierunków ideowych, do których będzie należała przyszłość — dalsza niż komunizm, hitleryzm, czy faszyzm. Dziś już można myśleć o podwalinach programu, który przyjdzie, gdy te, które są, przeżyją się.

Programy i poglądy polityczne najczęściej umierają śmiercią naturalną. To, czego nie dokona najzajadlejsza polemika i nie zmoże najstraszniejszy terror, ginie samo wówczas, gdy się tego najmniej spodziewamy, naskutek zestarzenia się, naskutek tego, że po władzę dusz sięgnęła mocarną ręką nowa idea, nowy program. Nowe programy rodzą się niepostrzeżenie dla wciągniętych w wir walki o władzę starych bogów, — w miarę tego, jak niepostrzeżenie zmieniają się formy życia.

Młodzież, a zwłaszcza młodzież akademicka jest uważana dość słusznie za barometr życia politycznego i społecznego. Młodzież jest przyszłością Narodu nawet wówczas, kiedy nie jest „narodowa". Tej młodzieży, o której u nas w Polsce mówimy nieraz rzeczy najgorsze, musimy przyznać przynajmniej jedno: tempo jej życia ideowego i jego zmienność osiąga poziom wogóle współczesnego tempa w życiu społecznem, a nawet to tempo wyprzedza.

Walka ideowa na uniwersytetach o prymat Narodu czy Państwa, tak zażarcie toczona w latach 1929, 1930, 1931, dziś zupełnie wygasa. Na miejscu dawnego zainteresowania zjawiają się problemy gospodarcze. Rodzi się jednolity front lewicy akademickiej, front antykapitalistyczny. Wzrastające wpływy tego frontu, proces jedenastu w Wilnie, to oznaki niezawodne narastania konfliktów społecznych na podłożu gospodarczem. — Z drugiej strony młodzież narodowa przekształca się w narodowo-radykalną. Zjawiska te nie są oznaką tylko narastania konfliktu, są ponadto objawem *zaniku polskiej myśli politycznej*. Wobec braku oryginalnej myśli Polacy przejmują wzory obce — zachodnie i wschodnie. Wytwarza się sytuacja pod względem politycznym podobna do okresu schyłkowego naszej przedrozbiorowej niepodległości. Teraz o tyle jest lepiej, że powagę sytuacji odczuwamy niemal wszyscy.

Jesteśmy świadkami powszechnego poszukiwania programu. Poszukiwanie to objęło w tej chwili bardzo duży odłam społeczeństwa *pomiędzy* komunistami i narodowo-radykalnymi. Idzie ono równolegle do tendencyj, objawiających się wśród katolików, stojących na gruncie uniwersalistycznego pojmowania katolicyzmu.

Nowe kąty widzenia

Wierzę, że poszukiwania te nie będą bezowocne. Dają się zauważyć już w tej chwili pewne przejaśnienia na horyzoncie polskiej myśli politycznej, jeżeli chodzi o politykę zagraniczną i narodowościową. Mam tu na myśli enuncjacje Piaseckiego w „Prosto z Mostu" i niektóre publikacje młodych konserwatystów („Bocheńscy"). Gorzej jest może w dziedzinie gospodarczej. Tkwimy wciąż w płaszczyznach sporów: etatyzmu z liberalizmem, komunizmu z ustrojem kapitalistycznym.

Wydaje mi się jednak, że bliski już jest czas, gdy spory te zaczniemy uważać za anachronizm, nie mający odpowiednika w rzeczywistości. Naprzykład podział na proletarjat i kapitalistów już dzisiaj w Polsce mógłby się nie wydawać słuszny, gdybyśmy chcieli pod mianem proletarjusza rozumieć człowieka pracy, a pod mianem kapitalisty — żyjącego z dochodów od kapitału. Kapitalistów żyjących bez pracy prawie niema! Natomiast prawie wszyscy, którzy mają dziś pracę, są burżujami w porównaniu do bezrobotnych. Prawo własności prywatnej do środków produkcji zostało zdewaluowane przez kryzys gospodarczy i system podatkowy. Nikt już o nie naserjo nie będzie walczył. Obszarnik, czy fabrykant uważa się dziś przedewszystkiem za płatnika podatków, za dzierżawcę raczej niż właściciela, i to na bardzo uciążliwych warunkach. Nie przenosi się on po zlikwidowaniu warsztatu pracy na posadę państwową lub prywatną w przedsiębiorstwie o kapitale państwowym tylko dlatego, że nie może tego zrobić; przedewszystkiem zaś boi się zostać bez pracy. Zdawałoby się, że pozostaje nadal aktualna wysokość płac, że ona może stanowić cenne kryterjum rozróżnienia na burżujów i proletarjuszy. Mam wrażenie jednak, że popularność hasła podniesienia stawek płac robotniczych w przemyśle, którem dotychczas operuje np. „Poprostu", jest żadna w porównaniu z hasłem — „praca dla wszystkich".

Katolicyzm, który w okresie swych narodzin zapisał się chlubnie w historji gospodarczej świata uwłaszczeniem niewolników i podniesieniem moralnej wartości pracy, powinien dać impuls do całkowitego zlikwidowania podziału, jaki dziś istnieje: — na uprzywilejowanych — pracujących i „liszenców" — pozostających bez pracy.

Zlikwidowanie tego stanu rzeczy wydaje się wielu niemożliwe, podobnie jak przed kilkunastu stuleciami wydawało się niemożliwe zniesienie niewolnictwa. Twierdzę jednak, że zrealizowanie hasła „praca dla wszystkich, którzy chcą pracować", musi być możliwe, skoro jest konieczne. Powinno się ono stać punktem wyjścia i podwaliną poszukiwanego programu na odcinku gospodarczym. Hasło to — musi skupić i pociągnąć za sobą katolików do współpracy w tworzeniu programu politycznego, któryby był zgodny z zasadami katolicyzmu i odpowiadał interesom i godności Rzeczypospolitej. Wyznawana religja nie zwalnia intelektu od obowiązku poszukiwania dróg właściwego budowania życia społecznego w taki sposób, aby ono było zgodne z religją. Roli intelektu nie zastąpią tutaj: ogólne wskazania Kościoła nauczającego, ani

LUDZIE WYKOŃCZENI

Przed kilku tygodniami zmarł wybitny katolicki pisarz francuski, Paul Bourget. Człowiek ten ur. w 1852 miał lat 82. We wspomnieniach pośmiertnych pisano niekiedy między innemi, że był to już człowiek „wykończony", który od 20-tu lat nic już ważnego nie napisał, choć od czasu do czasu ukazywały się jakieś powieści, których i tak nikt już nie czytał. Ostatnią ważniejszą rzeczą jest „Sens śmierci", pisany w 1916 roku, a więc gdy pisarz miał lat 63. Jako członek Akademji Francuskiej mógł zresztą spocząć sobie na laurach. Bardzo interesująco przedstawia się na tle sylwetki Bourgeta postać nowego Członka Polskiej Ak. Literatury, Ferdynanda Goetla. Lat 46 (ur. 1890), zadebiutował w r. 1921, ostatnią powieść p. t. „Serce lodów" napisał w r. 1929. Odtąd nic nie pisuje. Dla informacji pilnego czytelnika, który zechce porównać rozwój obu omówionych pisarzy, należy dodać, że Paul Bourget rozpoczął swoją karjerę w r. 1883. Bardzo to interesujące, co też po najdłuższem, daj Boże, życiu Goetla napisze o nim krytyka?

* * *

Takie natychmiastowe „wykończenie się" jest w Polsce bardzo modne. Przykład dał Mickiewicz, którego karjera poetycka trwała niecałe lat 15 na około 60 lat życia, w tem przeszło 40 lat żywej działalności. Dalej idą Staff i Tetmajer, którzy trzykrotnie przeżyli swoją twórczość. Im młodsi pisarze — tem szybciej zawieszają lirę na kołku. Tuwim od dziesięciu lat oprócz wiersza: „rządzić, ale przeciw komu" oraz wiersza o inteligencie w waterklozecie—nic wartościowego nie napisał. Słonimski („chodzi o to, że wszystko, co nie ja — jest hołotą") — o tym niema co mówić. Kazimierz Wierzyński (Wroczyński w parodji wieszcza olimpijskiego tak go charakteryzuje: „Dzień w dzień niedziela. A zaś od poniedziałku już szalenie cieszę się na zapas, ale dlaczego—bał żebym to wiedział") — też się skończył. Lechoń — jest „ambasadorem" polskiej sztuki w Paryżu i zdaje się, że zrezygnował z lauru poetyckiego. A iluż to w naszych oczach zakończyło swoją karjerę poetycką lub pisarską! Oczywiście nie wolno nam nikogo potępiać za to, że talent komuś nie dopisał, że warunki, że zniechęcenie, że może laury przygniotły. Ale ten objaw w sztuce polskiej staje się nagminny i może warto byłoby poszukać przyczyny tego zjawiska. Możeby się udało uratować tego lub owego polskiego Cervantesa albo Musseta. Wydaje się czasami, że nasi wielcy ludzie sparzyli się na pierwszych swych powodzeniach, potem lada trudność zmuszała ich do naśladowania swoich własnych utworów, i w ten sposób, jak grzybki japońskie, utuszyli się we własnym sosie. Zdaje się, iż najlepsza jest recepta, podana w pięknym wierszu Lieberta:

„Coraz cięższa staje się mowa,
Czyżby słowa utracić trzeba,
By jak duszę odzyskać słowa?" *W. R.*

ściąganie gotowych wzorów z przeszłości. — Uznanie katolicyzmu za program polityczny jest małodusznem i symplicystycznem upraszczaniem roli człowieka, co nie jest zgodne z duchem katolicyzmu. Właściwie pojęty katolicyzm życia nie upraszcza, nie sieje sztucznego spokoju sumienia wśród krwi, łez i niesprawiedliwości. Nakazuje bojowanie wśród niepewności, z natężeniem wszystkich sił umysłu i serca. Nieomylność w rzeczach wiary i moralności, jaką przypisujemy nauce Kościoła, nie powinna być lekkomyślnie przenoszona w dziedzinę polityki i życia gospodarczego. In dubiis libertas - mówił św. Augustyn — sed non nequitia — dodamy. Nie bezradność i bierność, ale poszukiwanie słuszności i prawdy, śmiały czyn muszą znamionować każdego katolika w życiu społecznem i politycznem. Czynu tego nie powinno krępować urojenie na temat istnienia jakiegoś katolickiego programu politycznego. Program polityczny nie przychodzi w drodze objawienia. Program taki trzeba umieć stworzyć. Zanim to się stanie trzeba obalić przesądy i uprzedzenia, trzeba rozwiać mit, pozbawić szkodliwego uroku legendę o „katolickim programie" społecznym i politycznym.

ANTONI GOŁUBIEW

SPRAWA LECHICKIEGO

Niewątpliwie dziś to już jest „sprawa". Lechicki napisał książkę i cała Polska mówi o niej, jak o sensacji. I nie jest to powieść, ani odbronzawiające rewelacje, nie jest to pamflet polityczny. Książka zdawałaby się nie mieć danych na to, by stać się aż tak sławną. Jest to bowiem podręcznik bibljograficzny p. t. *Przewodnik po beletrystyce*.

Z ukazaniem się jego wszczął się hałas. Otoczyła go sława. Ale sława smutna. Oto parę listków z wieńca laurowego, którym prasa wieńczy autora.

Wymyślały mu *Wiadomości Literackie*, drwił *Kurjer Poranny*, wydziwiało *I. K. C.* No! ale wiemy, czem jest cała ta spółka, p. Lechicki napisał zaś podręcznik katolicki — nic więc dziwnego, że przytoczone pisma... Ale wszak w *Przewodniku Katolickim* o. Pirożyński, który sam przecie godzien jest dzielić sławę z p. Lechickim co do poziomu swych wydawnictw, mówi o „bałamuctwach" autora *Przewodnika*.

A oto kilka wycinków z pism, uważających się za katolickie i walczących o swój poziom intelektualny. *Młodzież Katolicka* pisze:

> Tylko skandalem można nazwać ukazanie się książki Czesława Lechickiego *Przewodnik po beletrystyce* pod auspicjami Akcji Katolickiej w Poznaniu ... Wychodząc z punktu widzenia całkowicie dowolnie przez siebie obranego ideału moralnego, jakiegoś „spirytualizmu chrześcijańskiego" — autor wyprawia niesłychane harce nad [illegible]czcigodniej- [illegible] nikogo, kto nosi znane nazwisko... Zatem jego książka jest równocześnie 1) sprzeczna z religią katolicką, 2) pornograficzna, 3) nie poparta prawdą, lecz zmyśleniem, fikcją, jest książką nieuczciwą, poprostu oszukańczą... Protektorat Akcji Katolickiej w Poznaniu nad tą książką uważamy za nieporozumienie, wynikłe chyba z nadużycia czyjejś dobrej wiary. (J. N. *Skandal i niekompetencja*. Nr. 5, r. IV).

A *Prosto z Mostu*:

> Całość pracy ... czyni mocno przygnębiające wrażenie. Uwagi dyskwalifikacyjne wypadają czasem wręcz nieoczekiwanie... Żałować należy, że podobnemu wydawnictwu dała swój stempel Akcja Katolicka. Oczywiście katolicyzmowi *Przewodnik* ów nie jest w stanie zaszkodzić, zbyt małem jest przecież wydarzeniem. (Jan Bajkowski, *Córuchno, nie czytaj Mauriaca*. Nr. 45, r. I).

A teraz skolei *Bunt Młodych*:

> Książka jest typowym przykładem niewłaściwie pojętej krytyki katolickiej w Polsce. To, co się dotychczas ukazywało po kilkanaście wierszy w tem lub innem piśmie, to zostało teraz zebrane w jedną całość i dlatego wrażenie jest tak przykre i oburzenie tak wielkie... P. Lechicki sparodjował krytykę katolicką nieświadomie. P. Lechicki chciał się przysłużyć sprawie katolickiej, pisząc swoją pracę pod tym specyficznym kątem widzenia, który spowodował, że zarzucono mu obsesję seksualną, i miał nadzieję, że jego kryterja będą stosowane i znajdą uznanie, — przysłużył się bezwątpienia sprawie katolickiej, przekonywując opinję katolicką, że właśnie tych kryterjów nie należy stosować. Dlatego też należy z tych przyczyn bardzo zresztą doniosłych dla naszego życia kulturalnego uznać pracę p. Lechickiego jako bardzo pożyteczną. Oby więcej wychodziło takich parodyj, świadomych i nieświadomych, które w niewielkiej sposób przejrzą ogólnie krytyki w Polsce z takim skutkiem, jak *Przewodnik po beletrystyce*. (Jan Frankowski, *Sprawa Lechickiego i Zegadłowicza*. R. VII. Nr. 1).

Te gorzkie słowa mogą się wydawać przesadą i przejaskrawieniem. Ale zacytujemy skolei, co pisze *Gregoriana*, oficjalny organ Archidiecezji Lwowskiej obrządku ormiańskiego:

> Przewodnik p. Lechickiego oddać może katolicyzmowi niejedną złą przysługę. Przedewszystkiem zrazi doń i zniechęci większość pisarzy współczesnych, co chyba nie leżało w intencjach autora. Innym ludziom, usposobionym nieprzychylnie czy obojętnie względem Kościoła, da jeden więcej powód do powątpiewania, czy z katolickiego punktu widzenia można wogóle napisać bezstronną i kulturalną książkę o literaturze. Szerokiemu a naiwnemu ogółowi udzieli jednej więcej lekcji katolicyzmu, pojętego płytko i negatywnie. A przedewszystkiem stanowi dowód, jak dalece w ciasnej, choć płynącej z dobrej woli, interpretacji [illegible] ulec wypaczeniu treść ideowa katolicyzmu, którą stanowi przecież dobro, prawda i piękno.

* * *

Przejrzeliśmy wyżej głosy krytyki. A czemże jest sam przedmiot krytykowany? Co zawiera ów osławiony dziś *Przewodnik po beletrystyce?*

Książka składa się z ogólnego wstępu oraz właściwego „przewodnika". Zawiera spis ponad 1100 autorów, umieszczonych alfabetycznie; każdego autora charakteryzuje Lechicki krótkim ogólnym artykułem oraz podaje spis dzieł beletrystycznych, pisanych po polsku, lub tłumaczonych na polski; przy dziełach ważniejszych dodaje parę słów komentarza, a wszędzie cyferkę rzymską.

Cóż znaczą te cyferki? Są to jakby stopnie stawiane za prawowierność. Książki oznaczone cyferką II są to powieści „dla wszystkich"; cyferka III sygnuje książki „tolerowane", — IV — książki „niebezpieczne, szkodliwe", których trzeba jak ognia unikać. I tutaj zaczyna się pierwsze nieporozumienie. Bo proszę: np. *Lalka* Prusa (i *Faraon*) oznaczone są cyferką III, są zaledwie „tolerowane", nie są „dla wszystkich", natomiast „dla wszystkich" jest *Tajemnica trzech dębów*, jedna z najgłupszych powieści Edgara Wallace'a. U Hamsuna *Głód* zaledwie tolerowany, *Benoni* zalecany. Już to wogóle, gdzie jest jakaś mocniejsza problematyka społeczna, gdzie tylko ktoś będzie głodował, autor zawsze gotów dodać: temat niesmaczny, ujęty naturalistycznie. I tak z temi „stopniami" jest stale — co się autorowi podoba w myśl jego ogólniejszych założeń, dostaje pochwałę, co nie, — precz!

Jakież są te założenia autora? Przedewszystkiem chce on oceniać książki „pod kątem etyczno-moralnym", nie artystycznym. Ten kąt etyczno-moralny ogranicza się do chorobliwego wprost wyławiania każdej lubieżności, na śledzeniu wszędzie „pornografji" i „bezwstydu", jakby te elementy lub ich brak decydowały ostatecznie o wartości etycznej dzieła. To jest kąt widzenia moralny. Jednak autor mówi i o stronie artystycznej. W rezultacie w *Przewodniku* widzimy zupełny bałagan. Np.:

> CHESTERTON ... Typowy dziennikarz, nie artysta, lecz raczej literacki improwizator, feljetonista i impresjonista... zmanierowany paradoksami do jałowej czasem dialektyki, przepełniony dziwactwami, mimowolną sofisterją i fantasmagorjami.
>
> MAURIAC — ... Lubuje się analizą zboczeń i upadków obyczajowych, okazując niezwykłą znajomość odcieni rozpusty i psychologji erotomanów. Sędzia pobłażliwy, wprowadza z premedytacją w arkany zła, dobro zaś nader blado i szczupło u niego wychodzi, kątem niemal i na okrasę zaledwie. Cała siła talentu i plastyka przedstawienia i sugestja artystycznej wizji zostaje po stronie niecnoty. Mauriac nie umie zharmonizować piękna z ideałem, lecz z pasją, lepszej sprawy godną, rozmazuje podłości wyjątkowych kreatur. Jakiś czas był też pod wpływem Gide'a. Moralista z niego wątpliwy i dwuznaczny, [illegible] kazuista zręczny i wykrętny.

Takie charakterystyki można mnożyć. Katolicyzm łączy autor z tradycjonalizmem. Wychodzi z założenia „spirytualizmu" i „supranaturalizmu chrześcijańskiego", bliżej nie tłumacząc tych pojęć, sympatyzuje z Kantem — słowem ma własny, być może konsekwentny, pogląd na świat, ale w zastosowaniu jako metoda ujęcia literatury pogląd ten zawodzi na całej linji. W rezultacie daje nam rzecz wypaczoną i kompromitującą.

* * *

Nie znaczy to, by książka Lechickiego żadnej wartości nie posiadała. Owszem, czytelnik krytyczny, otarty o literaturę i mocny w katolicyzmie może z niej korzystać — wprawdzie z podenerwowaniem — ale i pożytkiem. Lecz dla szerokiego ogółu wychowawców, rodziców, katechetów, nie znających gruntownej literatury — a dla takich przecie książka jest przedewszystkiem przeznaczona — *Przewodnik* nie nada się zupełnie. Wyobrażamy zaś coby było, gdyby tak jakiś poczciwina zaczął kompletować przy pomocy p. Lechickiego jakąś bibljotekę kulturalno-oświatową: trafiłyby tam same banały „o tendencji budującej", jak powiada o nich często p. Lechicki. Mauriac nie — bo „moralista z niego wątpliwy i dwuznaczny".

* * *

Książka Lechickiego to pretekst. Nie pisalibyśmy tak długiego artykułu, nie cytowalibyśmy tak szeroko prasy, gdyby chodziło tylko o książkę. Lecz jest jeszcze i „sprawa" Lechickiego.

Co składa się na „sprawę"?

1. Samo „dzieło".
2. Wydanie tej książki przez Naczelny Instytut Akcji Katolickiej i
3. Reakcja katolickiego społeczeństwa.

Nasuwają się uwagi przedewszystkiem w sprawie katolickiego ujęcia zjawisk literatury, o czem pisał w ostatnim numerze *Pax'u* Jerzy Ciechocki.

Niewątpliwie nie może być urzędowej, oficjalnej, kościelnej metody ujmowania spraw literatury, jak nie może być urzędowego, kościelnego programu społecznego czy politycznego. To trzeba sobie jasno uświadomić i Lechicki szukając czegoś podobnego, błądził zasadniczo. Ale tak, jak istnieje katolicka filozofja (nie mówię o teologji), tak musi być katolicka postawa w stosunku do wszystkich zjawisk kultury, a więc i do literatury pięknej; podobnie istnieje podstawa marksistowska czy liberalistyczna. Katolicka — to znaczy wypływająca z ducha katolicyzmu, będąca **jedną z wielu możliwych** katolickich postaw kulturowych [1].

Nad tem katolicy dotychczas prawie wcale nie pracowali, można rzec, że zagadnień tych nie widzieli. Bez wypracowania odpowiedniej metody cóż winien p. Lechicki, że nie mógł ściślej i dokładnej linji w swym *Przewodniku* utrzymać [2]. Inna rzecz, że p. Lechickiemu można wogóle zarzucać nieopanowanie materjału i brak literackiego wyrobienia. Ale mniejsza z tem.

To byłby punkt pierwszy. Drugi dotyczy wydania książki Lechickiego przez Naczelny Instytut Akcji Katolickiej. Przecie książka wypadła tak, że katolicy nazywają to „skandalem", „poprostu oszustwem", „złą usługą, wyrządzoną katolicyzmowi", „bałamuctwem" i t. d. Dowodzi to, że w Komitecie Redakcyjnym wydawnictw N. I. A. K. zbrakło poprostu fachowców, którzyby potrafili ocenić wartość książki Lechickiego. Dowodzi to zbyt małego udziału szerszych kręgów uczonych i literatów katolickich w pracach Komitetu. Nie wchodźmy w to, kto tu zawinił. Ale bez udziału tęgich sił **fachowych** sama tylko dobra wola nie wystarczy. *Przewodnik po beletrystyce* dowodzi wyraźnie, że sił tych w danym konkretnym wypadku zbrakło.

Wreszcie należy podkreślić zdrową reakcję prasy katolickiej. Gdy chodzi o sprawy kulturalne, katolicy nie powinni znosić tandety we własnym obozie. Nie chodzi mi o sadzenie szpilek w każdą robotę katolicką, o wyszukiwanie drobiazgów i niedociągnięć, o krytykę sprzeczną z miłością bliźniego. Ale w sprawach ważnych nie wolno nam milczeć.

Frankowski w cytowanym wyżej artykule woła o „świadome i nieświadome parodje" w rodzaju Lechickiego. Nie to jest jednak najważniejsze. Najważniejsza jest pozytywna twórcza praca wszystkich katolików w zakresie swej specjalności. Katolicy muszą zdać sobie sprawę, że nie mają oni moralnego prawa tłuc się na peryferjach wszystkich prądów i kierunków, szukać kompromisów z prądami wrogiemi myśli katolickiej, lecz że winni szukać własnej katolickiej drogi we wszystkich dziedzinach życia. Póki tego nie będzie, nie unikniemy *Przewodników po beletrystyce*.

[1] Zob. art. J. Turowicza, *O chrześcijańską kulturę jutra*, w ost. numerze *Pax'u*.

[2] W sprawie metody ujmowania zjawisk literackich i krytyki literackiej, którąby można było nazwać katolicką, *Pax* w najbliższym czasie zorganizuje odpowiednią ankietę wśród krytyków i pracowników naukowych — katolików. *Red.*

„POLSKA ZBROJNA"

modli się o wielkie hasła

Jak trwoga to do Boga—mógłby powiedzieć ktoś złośliwy. My tego nie powiemy. Poczuwamy się lojalnie do współwiny, żeśmy też wielkich haseł dotychczas ani wypracować, ani wymodlić nie umieli, tych wielkich haseł, o które się modli mjr. dyplomowany Jerzy Wądołkiewicz w „Polsce Zbrojnej" (z dnia 19 lutego b. r.). Wierzymy w szczerość modlitwy i przyłączamy się do niej.

Równocześnie jednak nie możemy powstrzymać się od wyrażenia radości z dwóch powodów. — Z tego, że są ludzie, którzy na łamach „Polski Zbrojnej" nie boją się prawdzie zajrzeć w oczy, oraz z tego, że ludzie ci, kiedy ich stać na odwagę, umieją właściwie ocenić sytuację. „Ten, kto się tylko broni — ten napewno przegra". — Tak jest, Panie Majorze! — Podzielamy całkowicie Pański pogląd. Trzeba nam hasła „ofenzywnego, bojowego".

Ale na to, aby to hasło wymodlić i wypracować, trzeba mieć przedtem odwagę przyznania się przed samym sobą i przed innymi, że dotychczas go nie było, że było brak idei przewodniej.

„Boże, zdejm z mego serca jaskółczy niepokój.
Daj życiu duszę i cel duszy wyprorokuj".

Powiedział ongiś w innych okolicznościach wieszcz. Dziś podobny „jaskółczy niepokój" ogarnia coraz szersze grono osób, nie omijając najbardziej zasłużonych i najwyżej postawionych w hierarchji państwowej i niepodległościowej. Oby był on pierwszą jaskółką nadchodzącej refleksji i... poprawy.

Prawo do życia narodu i prawo rządzenia narodem można wylegitymować tylko posiadaniem takiej wielkiej idei ofenzywnej. ery.

SEN

WIELE MÓWIĄCE OKREŚLENIE

Bardzo znamienne przemówienie wygłosił w tym roku w Sejmie generalny referent budżetowy.

To, co powiedział pos. Miedziński wychodziło daleko poza ramy zagadnień budżetowych, poruszone zostały sprawy szersze, niż budżet na rok następny i szersze nawet, niż sprawa położenia gospodarczego Polski.

Pułk. Miedziński mówił o zmianie ustroju społeczno-gospodarczego.

Sprawą tą starsze pokolenie w Polsce interesowało się stosunkowo mało. Zwłaszcza unikano wypowiedzeń ogólnych, uważano to za materjał do dyskusyj akademickich. — I rzeczywiście problem ten oddawna skupił na sobie główną uwagę młodego pokolenia. Można powiedzieć, że jest to wspólny, bolesny problemat światopoglądów młodego pokolenia wszystkich obozów. Ten problem w ustach tak ostrożnego polityka, jak pos. Miedziński, a przytem przemawiającego na niebyle jakiej trybunie, to ewenement bardzo niezwyczajny i bardzo ciekawy.

Płk. Miedziński zestawia teorję i praktykę kapitalizmu z doktryną i praktyką socjalizmu i z zestawienia tego wyciąga wnioski. Wniosek pierwszy ma postać paradoksu.

Od r. 1918 widzimy mianowicie realizację systemu socjalistycznego w jednem z państw europejskich. Jesteśmy w tej chwili w stanie porównać praktykę obu doktryn. Co wynika z tego porównania? Pozwolę sobie twierdzić, że w Rosji Sowieckiej praktyka początkowa realizacji ustroju socjalistycznego, a stan dzisiejszy, nastręcza w zestawieniu niesłychanie ciekawe doświadczenia.

Reasumuję to doświadczenie w ten sposób, iż to państwo socjalistyczne powróciło po pewnym czasie całkowicie i zupełnie do zasad kapitalistycznych w niektórych dziedzinach. W niektórych momentach już wróciło całkowicie, w niektórych innych jest jeszcze w fazie odwrotu. Kapitalizm zdawał egzamin przed tak surowym profesorem jak rząd socjalistyczny, który był tendencyjnie źle nastawiony do zdającego i okazało się jednak, że jeżeli chodzi o metodę organizacji produkcji i o metodę wymiany, to próba realizowania ustroju socjalistycznego skończyła się całkowitym powrotem do metod kapitalistycznych. Jeżeli weźmiemy taką zasadę, jak zasadę równości płac, od której zaczął swoją praktykę ustrój socjalistyczny w Rosji Sowieckiej, to już w r. 1931 została ona potępiona przez obecnego kierownika państwa sowieckiego, Stalina, na zebraniu moskiewskiej organizacji partyjnej; oświadczył on, że ideologja równości płac i zarobków jest poprostu drobnomieszczańskiem pojmowaniem socjalizmu, niemającem nic wspólnego z doktryną Marksa i Lenina.

— — — — — — — — — — — — — —

Mamy więc tu do czynienia z zerwaniem z zasadą równości płacy i wprowadzeniem rozpiętości według wartości i wydajności pracy. Następnie zerwano z negowaniem dyscypliny i hierarchji jednostki w pracy zbiorowej. Zrozumiano od szeregu lat w życiu przemysłowem, że lepiej jest, gdy jakiemś przedsiębiorstwem kieruje dobry specjalista, aniżeli najbardziej ideowy nawet komitet robotniczy.

Te eksperymenty, dziejące się gdzieindziej, są rzeczą dla nas cenną. Można stwierdzić, że metody produkcji kapitalistycznej, dyscyplina, jednostkowa hierarchja, rozpiętość płac według wydajności i wartości pracy, — zostały przyjęte w ustroju socjalistycznym, czyli te kapitalistyczne metody pracy zdały egzamin nawet w oczach doktrynalnych wrogów.

Jeżeli chodzi o wymianę dóbr wyprodukowanych, to z chwilą, kiedy został utrzymany pieniądz i tak samo jest przedmiotem dbałości i troski rządu socjalistycznego utrzymanie relacji pieniądza wobec złota. Tu jesteśmy niewątpliwie na całej linji w odwrocie do kapitalistycznych metod wymiany, opartych na pieniądzu. Doszliśmy więc do tego, że pewna część doktryn socjalistycznych została w praktyce porzucona i złamana, mianowicie w zakresie organizacji produkcji. Kapitalistyczna metoda produkcji zdała egzamin, socjalistyczna metoda nie zdała egzaminu.

Kapitalistyczna organizaja produkcji i kapitalistyczne zasady wymiany dóbr wykazały swoją słuszność w ... Sowietach. Jest to paradoks bardzo ciekawy. Uwypuklenie tego faktu jest bardzo ważne. Przy poszukiwaniu bowiem punktów wyjścia dla zarysowania zasad przyszłego ustroju, momenty te muszą mieć znaczenie punktów wytycznych. Nie można przez tę oczywistość przeskakiwać.

Te zasady, na których się opiera kapitalistyczna organizacja produkcji i wymiany, kształtowały się w ciągu długich wieków, dyktowały je doświadczenia wielu pokoleń. Eksperyment sowiecki wykazał, że doświadczenia tego zlekceważyć nie wolno. Uznanie tych zasad, opartych na wielowiekowem doświadczeniu musi stanowić punkt stały przy zakładaniu fundamentów nowego ustroju.

Ale stwierdzenie słuszności założeń nie ratuje kapitalizmu. Płk. Miedziński nie broni tej doktryny.

— — — — — — — — — — — — — —

Przejdę teraz do drugiej sprawy. Przypatrzmy się, co jednocześnie działo się w zakresie rządzącego, panującego kapitalizmu. Można powiedzieć, że jeszcze jedna cecha tego ustroju ekonomicznego tak samo zdała egzamin ponad wszelkie spodziewanie: zagadnienie możliwości ilości produkcji.

— — — — — — — — — — — — — —

Pod wpływem potrzeb, stworzonych przez wielką wojnę wynikło to, z czem mamy w tej chwili do czynienia, — nadprodukcja i doświadczalne sprawdzenie olbrzymich możliwości produkcji. W tej chwili przy olbrzymich zapasach dóbr wyprodukowanych mamy do czynienia z tem, że bynajmniej cała zdolność aparatu produkcyjnego nie jest wyczerpana. A więc temi metodami ludzkość może wytworzyć pełną ilość dóbr materjalnych, które są jej potrzebne.

I tutaj przechodzimy do strony negatywnej, do strony załamania się ustroju kapitalistycznego. Tak jak w metodach organizacji produkcji nie zdał egzaminu ustrój socjalistyczny, tak w zagadnieniu podziału dóbr wyprodukowanych stoimy przed niewątpliwie wyrazistą katastrofą ustroju kapitalistycznego. Proszę Panów, stu profesorów nie wytłumaczy mi, że jest w porządku, jeżeli miljony ton dóbr wyprodukowanych — zboża, odzieży, ulega zniszczeniu, — a jednocześnie miljony ludzi cierpi głód i chłód. To rozumie każde dziecko. To jest niewątpliwy, niebudzący żadnej wątpliwości objaw, że dany system w tej dziedzinie nie zdał egzaminu. Jeżeli się tępi i pali miljonowe zapasy, jeżeli się płaci premje za nieuprawianie ziemi i niehodowanie bydła, za postój fabryk, a jednocześnie miljony ludzi znosi straszliwą nędzę, to jest naprawdę głupie, to jest bardzo wielkie świństwo.

„Bardzo wielkie świństwo". — „Rozumie to każde dziecko". Słowa te przypominają echa gorących sformułowań „zapalnej młodzieży".

Stwierdzanie, że to jest świństwo uchodziło dotąd w gronie starszego pokolenia polityków za symplicyzm, za wypowiedzi, z któremi do twarzy jest tylko studentom. Jeżeli dzisiaj vicemarszałek sejmu tak te rzeczy formułuje, to znaczy, że bunt młodego pokolenia przeciwko onym świństwom nie był tylko wynikiem symplicystycznego myślenia; to znaczy, że bunt ten zaczął ogarniać i pokolenie starsze.

Ale i dalej płk. Miedziński mówi językiem młodego pokolenia.

To są rzeczy, które niewątpliwie dojrzały. To są rzeczy, świadkami których jest nasze pokolenie i które naprawdę wymagają rewizji i umysł ludzki musi znaleźć wyjście z tego impasu, w którym się znajduje. Mamy więc do czynienia z poważnem załamaniem się obu doktryn, walka między któremi była powodem tylu przeżyć naszej młodości.

Przechodząc do wniosków pozytywnych, pos. Miedziński stawia postulat umiarkowanego interwencjonizmu państwowego, zmierzającego do słusznego podziału dochodu społecznego.

— — — — — — — — — — — — — —

Robotnik poszedł bić się o swój naród, państwo, o jego prawa, o jego niezależność, samodzielność i terytorjum pomimo, że to państwo było rządzone przez jego wrogów klasowych. To musiało zostawić swój ślad na psychice ludzkiej, jakżeż można potem temu człowiekowi odmówić praw do życia, jakżeż może potem to państwo i ten naród zostawić go na pastwę wyzysku bez obrony, jakżeż można powiedzieć, że prawo kapitału do renty i zysku góruje nad wszystkiem. To jest źródło nowej roli państwa w społeczeństwach dzisiejszych.

Państwo stało się dzisiaj czemś bardzo dalekiem od tych funkcji, jakie przypisywał mu Marx; państwo, które napewno dzisiaj — to jest gołem okiem widoczne — nie jest maszyną, zapewniającą siłą prawo i swobodę działania kapitałowi. Tak już dawno nie jest. Państwo nie jest „sługą i pachołkiem kapitalizmu", jak to się zawsze mówiło. Każdy widzi, że państwo wzięło na siebie inną rolę, rolę arbitra, rozsądzającego spory między klasami, spory między kapitałem i pracą, badającego możliwości czy niemożliwości podwyżki płac bez ruiny dla danego warsztatu pracy; godziwość czy gospodarcze uzasadnienie zysku. To są już pojęcia, które w dzisiejszym ustroju przeszły do prawa, do ustawodawstwa. To nie ma nic wspólnego z klasycznym kapitalizmem.

Państwo, które w całym niemal świecie wchodzi tak głęboko nawet w dziedzinę prywatnoprawnych zobowiązań materjalnych między jednostkami i reguluje zobowiązania prywatno-prawne, jest już niezmiernie daleko via facti od kapitalizmu klasycznego. Państwo dzisiaj wchodzi w te rzeczy, stawia pewne granice i pewną kontrolę i nad świętem prawem rentowności. Stawia granicę dobra powszechnego, stawia granicę godziwości zysku.

I tutaj na tem tle dochodzimy do zagadnienia etatyzmu. I na tem tle może dopiero we właściwych rozmiarach możemy je ocenić i rozgraniczyć to, co w niem jest konieczne, i to, co w niem jest zbędne. Zbliżamy się również do zagadnienia gospodarki prywatnej. Albowiem budżety państw stały się też narzędziami arbitrażu społecznego, stały się tym aparatem, przez który odbywa się przesuwanie, przesiewanie dochodu społecznego z jednej warstwy na drugą. Państwo stało się siłą, która z reguły przyłącza się do słabszego w walce ekonomiczno - gospodarczej i w ten sposób stanowi pewien wyrównawczy stały czynnik sprawiedliwości społecznej.

W dalszych wywodach mówca wskazuje na konieczność reformy rolnej w Polsce. — Innych konkretnych wskazań niema.

W tem, co powiedział płk. Miedziński niema nic rewelacyjnego. Że końcowy punkt sytuacji stanowi sprawa podziału dochodu społecznego, to wiadomo. Dążenie do słusznego, prawidłowego rozdzielenia dochodu społecznego jest celem wszystkich eksperymentów Roosevelta. Ta sama tendencja stanowi ideę przewodnią konsekwentnej polityki gospodarczej wielu innych państw.

Novum stanowi samo postawienie zagadnienia w tej formie, jak to uczynił wicemarszałek Sejmu. Novum to owe

---

MARJA WINOWSKA

RZECZ O ŚWIĘTYM FRANCISZKU

Bóg jest i to Mu wystarcza.
Jest tym, który Jest:
Bytem.

I wszystko inne — cały świat — jakby nie jest.

Dobyty z nicości, wplątany w materję bezkształtu, głodem mijania świadczy Bogu.

Jest tylko śladem Jego braku —

Pojemnością czekającą na Pańskie przyjście. Wyznaniem — mimowolnem — wiary.

* * *

Człowiek (a więc ten, który nie jest) posiada ciężką i trudną broń, która jest po to, by ją można zdać: wolną wolę. Uzbroiła nią człowieka Miłość.

Albowiem jest istotą Miłości żądać wolnego daru — jasnego: tak. Miłość nie więzi — zła nie wyrządza — nie chwyta zdradnie. Jest cicha — cierpliwa — czekająca.

Człowiek może odrzucić ją precz — powiedzieć „nie". Jest wolny. (Ale naonczas wola jego mija się ze swoim celem; czyż nie poto, w wiosenny dzień dziewczyna słyszy z umiłowanych ust pytanie przeogromne, by odpowiedzieć „tak"?).

Człowiek może powiedzieć: „nie". I wówczas na nic zda mu się jego wolna wola — staje się więźniem własnych granic — jak dzikie, wolne zwierzę — zamknięte w klatce.

Mówiąc „nie" człowiek zdradza Boga i świat.

Zostaje sam, z własną biedną duszą — prześliczną, oślepłą branką. Nic z niej nie zetrze podobieństwa zdradzonego — Boży dar jest bezpowrotny

(dlatego istnieje piekło).

Mówiąc „nie", człowiek traci Boga i świat. Jak ślepiec — nie widzi świętych śladów — Jak głuchy — nie słyszy chwalby Bożej, którą bez przerwy opowiadają niebiosa i wszystka ziemia. Jak niemy — nie umie przyłączyć głosu do chóru rozśpiewanego od dnia stworzenia: Święty, Święty, Święty.

Jest sam.

Bo nawet klucz do innych dusz gdzieś mu zginął i odnaleść go nie może.

* * *

Są jednak ludzie, którzy mówią: „tak".

Wolna wola odnajduje swój całkowity sens tylko w pełnem „tak".

Pełne „tak" mówią święci.

Dlatego są z wolnych najwolniejsi — Bóg się im daje — i cały świat.

* * *

Święty Franciszek powiedział najokrąglejsze „tak". Nie zatrzymując dla siebie nic — ani szczypty starego człowieka. Na wezwanie, na pierwszy znak odrzucił precz wszystek ciężar niepotrzebny a żmudny; i odtąd biegł zapatrzony w najsłodsze ślady, krokiem w krok za Chrystusem Ukrzyżowanym. To zaś się wykłada: iż poślubił Panią Biedę.

* * *

Zaślubiny one to coś więcej niż ubóstwo doskonałe. Wielu synów franciszkowych — ubóstwu wiernych — Pani Biedy nie zna wcale. Albowiem jest ona, jak wielki i cenny klejnot, który trzeba wysłużyć i zdobyć w rycerskim trudzie i w krwawym znoju.

Pani Bieda jest wcieleniem najpełniejszego „tak", które wyrzekłszy, człowiek stwierdza, iż z Siebie nie ma nic — nie jest niczem — jeno lennikiem Wielkiego Króla, któremu przyjdzie sprawę zdać. Że jest żebrakiem.

Pani Bieda jest wielka i cenna i trudna. Któż z nas nie jest kapitalistą własnych myśli — uczuć — słów (jeśli już nie dóbr i włości?). W czyjem sercu nie wznoszą się co staj ostrzegawcze znaki „Wstęp wzbroniony": Komu? Bogu.

Któż widzi się stworzeniem — tem co nie jest — wobec Boga — który Jeden Jest?

Pani Bieda jest wielka i trudna i cenna i dlatego Franciszek umiłował ją tak żarliwie i poślubił tak radośnie.

W nagrodę otrzymał Boga i świat.

Albowiem prawdziwe jest prawo: wstręt do próżni i tam, gdzie my się kończymy, zaczyna się zawsze Bóg i Jego królowanie miłościwe.

W słudze swoim Franciszku Bóg nie znajdował żadnych przeszkód i zwolna wypełnił go po brzegi, jak wielki złoty kielich. I nawet na tem nie było dość. Pod naporem Miłości nieskończonej kielich zaczął trzeszczeć i pękać — łachman przeźroczysty ciała nie wytrzymał Bożego ognia i rozwarł się pięciu otworów, nakształt krzyża. Z Franciszka nie pozostało jakby nic — był już tylko Chrystus.

* * *

Z chwilą pierwszego grzechu zerwał się pakt pomiędzy człowiekiem i stworzeniem. Ziemia stała się mu oporna i gorzka i wroga.

W chciwych rękach z narzędzia chwalby przeobraziła się w narzędzie pychy i egoizmu. I odtąd — za okrutne nadużycie — ma do niego żal. Ziemia broni się przed człowiekiem — jest nieufna — skryta i twarda.

W zrękowinach z Panią Biedą Franciszek odnalazł ziemię. — Usłyszał i zrozumiał jej skargę i żal serdeczny. Tedy wziąwszy ją w ręce niby lutnię wielostrunną zaczął grać — pieśń stworzenia — Laudy Boże.

Pochwalony bądź Panie przez brata słońce
..... i przez brata księżyc
..... i przez siostrę wodę
i przez matkę ziemię...

To też wdzięczna ziemia wznowiła z Franciszkiem zerwany pakt — zwierzęta, ptaki i zioła stały się mu powolne — garnęły mu się same w ręce litanją żywą, pewne, że te ręce Franciszkowe — przeświecające — ani odrobiny z nich nie zmarnują, nie uronią, nie odwrócą od wielkiego celu: Chwalby Bożej.

Dla tego wszystkiego, co się rzekło, Franciszek, brat Najmniejszy, jest bardzo Wielki przed Panem i zwie się: w języku ptaków, zwierząt i ziół i ludzi dobrej woli „RZECZNIKIEM BOŻEGO PRAWA" na wczoraj — i na jutro — i na dziś.

ogólne uwagi na te tematy i one — „bardzo wielkie świństwo"...

Krytyka wyglądała jasno, ale wnioski pozytywne były mniej jasne. „Umiarkowany interwencjonizm państwa"? Ależ wiemy, że próby dotychczasowe nie dały wybitnych rezultatów. Nie jesteśmy zwolennikami konserwatyzmu gospodarczego. Ale ostatnia krytyka posłów konserwatywnych w sprawie lasów państwowych najbardziej zapalonego etatystę musiała przekonać, że coś tam jednak jest nie w porządku, z drugiej strony dziś w dobie szalejącego kryzysu być może, iż bez interwencjonizmu byłoby jeszcze gorzej. Zwolennicy liberalizmu gospodarczego utrzymują, że gdyby nie interwencjonizm, kryzys minąłby już dawno. Czy takby jednak było — kto wie.

Ale inną rzecz trzeba powiedzieć w stosunku do wielu interwencjonizmów, m. i. i do naszego: oto nie wiedzą one dokąd dążą [1]), w imię czego, w imię jakiego programu interwenjują. Posiadamy tylko ogólne wytyczne (polityka deflacyjna) i probujemy „przetrzymać". Czyż to wystarczy do likwidacji owego „wielkiego świństwa"?

Kończymy te uwagi znakami zapytania. *Nikt w Polsce nie wie, jak wybrnąć z sytuacji.* Ale najważniejsze jest poczucie konieczności wybrnięcia, nietylko „przetrzymania". W sprawach społecznych i gospodarczych wszelkie ulepszenia i zmiany mogą powstać tylko na gruncie poczucia niedoskonałości stanu obecnego. Poczucie szczęśliwej „prosperity" nie predysponuje do reform. Najważniejszą jest bodaj rzeczą zdanie sobie sprawy, że sytuacja dzisiejsza jest „wielkiem świństwem".

[1]) Rooseveltyzm np. jest interwencjonizmem, który wie, czego chce. Być może, myli się, być może, niema racji. To też nie programy amerykańskie, tak od naszych stosunków odległe, ale owo szukanie jest dla nas ciekawe. I dlatego tak wiele poświęcamy w PAXie uwagi próbom amerykańskim (zob. PAX 1935 nr. 6. 10. 12. 1936 nr. 1—2). *Przyp. Red.*

KORESPONDENCJA

T. zw. *„Proces wileński"* wywołał duże poruszenie wśród najszerszych warstw naszego społeczeństwa. Z licznych odgłosów drukujemy list znanej literatki wileńskiej, jako bardzo charakterystyczny. Nie możemy się zgodzić całkowicie ze zdaniem Sz. Autorki. Młodzi nie są dziś tak naiwni, by myśleć, że w Rosji jest raj, by „z zazdrością patrzeć na ucztowanie". Przyczyny komunizowania się są głębsze i trudniejsze do usunięcia. List ten jest doskonałą ilustracją niezrozumienia młodych przez pokolenie starsze no!... i odwrotnie. *Red.*

Tragiczny i bolesny fakt potrzeby sądzenia naszej młodzieży już rozegrał się przed kratkami.

Nie powtarzam jego przebiegu, nie charakteryzuję biorących w nim udział. Mogłabym przez mgłę łzawego wzruszenia czegoś niedopatrzeć, mogłabym w kołowrocie słów i obrazów czegoś nie uchwycić. Biorę fakt jako konieczność.

Naród odrodzony sam na sobie robił amputację pod grozą gangreny. Sam musiał sądzić swoje dzieci, i potępiać... Czy to nie najwyższy tragizm?

A teraz, myśl wstrząśnięta szuka powodów, przyczyn i winy — tego, co się stało.

Kto tutaj winę ponosi?

Czy ci, co ją odkryli i stojąc na straży, uderzyli na alarm? Czy ci, co srogością powodowani, potępieniem dodali tej winie ciężaru, nie mając wyrozumiałości? Czy winni są sami oskarżeni, sama młodzież? — Ani jedni, ani drudzy.

Ci ostatni, pyszny materjał człowieczy, z całym ładunkiem inteligencji, entuzjazmu, zdolności do ofiar—z przewalczonemi latami studjów, i szukania na czem się oprzeć, n a c z e m o p r z e ć p r z y s z ł o ś ć ś w i a t a, to, w innych okolicznościach, wyborowi pracownicy przyszłości.

Co nimi zachwiało? Co z nich zrobiło przestępców wobec własnej Ojczyzny, jej praw i ładu społecznego?

Możemy jednem słowem na to odpowiedzieć: w y c h o w a n i e.

Uderzmy się w piersi, my wychowawcy, cośmy już przemyśleli i przeżyli ogromny kawał drogi, czyśmy usunęli z przed ich oczu wszystkie miazmaty zaraz moralnych i pokus złudzeniowych?

Na zjeździe historyków w Wilnie Wice-Minister Oświaty, p. Chyliński, w odczycie na temat upadku kultur różnych w starożytności—powiedział: „Dwa są typy kultury: takie, które wierzą w samowystarczalność człowieka i takie, które widzą ponad człowiekiem, ponad sobą, prawa wyższe".

Tym młodym zdawało się, że właśnie ich wola, ich poglądy, ich chęci, są prawem najwyższem. Nie trzeba modlić się, bo niema do kogo. Nie trzeba słuchać, bo niema czego. Doświadczenie wieków i ludzi — to głupstwo. Dopiero my pokażemy, że stulecia, światy, kraje i narody się mylą, i nasze ramiona Herkulesowe dźwigną całą kulę ziemską! A zarozumiałości tej nikt im nie ganił: — owszem, może ta młodzież wygłosi i znajdzie coś nowego! Od dzieciństwa wyrabiano w nich samowolę i przekonanie, że największa świętość — to „ja". Niedawno byłam na choince, gdzie dzieci śpiewały kolendy, a wśród nich jedną szkolną, nową: „Wiwat Pan Jezus, wiwat Maryja, wiwat święty Józef, cała kompanija". „Kompanija" za pan brat z Bóstwem rosnąc, nie widzi nic Świętego prócz siebie i wierzy najgłębiej w „samowystarczalność człowieka" w tworzeniu wygodnej dla siebie i innych kultury.

Ci pedagogowie, profesorowie, rodzice, co obrzędowo traktując religję nie umieli w intelekt nieprzeciętny wlać Idei Wiary, a w duszę gorącą uczucia miłości, ci dźwigać winni odpowiedzialność przed trybunałem za grzechy młodzieży.

Filareci i Filomaci wspominani są w procesie z żalem za przeszłością — ależ oni nie chodzili do teatru, aby się uczyć obyczajów z „*Cudownego Stopu*" i przypatrywać się sowieckim „*Małżeństwom*" tak jak dziś nasze chłopięta i dziewczynki, z których przecież wyrastają owi studenci, przerabiacze na własną rękę świata. Czy mamy się dziwić, że ci biedni i głodni z zazdrością patrzą na ucztowanie na scenie, i że z „samowystarczalnością człowieczą" starają się o kontakt z krajem takim, gdzie się tak smacznie jada? Ależ my sami podsuwamy im te pokusy i te złudzenia. Teatr, książka, kino, to wychowawcy dzisiejsi młodzieży. Wszystkiemi sposobami pokazujemy im nowości, najtańsze, najłatwiejsze do dostania z najbliższego sąsiedztwa. A potem? Potem stawiamy ich przed kratki sądowe, gdy już tę wiedzę posiądą i samodzielnie reprodukują.

Któż jeszcze ma się podzielić tą winą, którą dziś dźwigają studenci, młodzi asystenci profesorów i studentki, szukające dróg nowych do takich krajów, w których „nie trzeba znosić żadnych ograniczeń i braków"? Oto ci, co nie umieli nauczyć historji własnego narodu, co nie nauczyli Polskę kochać od dzieciństwa, by w młodości rozumieć jej pochód dziejowy. Nie od zewnętrznej, kolorowej, adoracyjnej strony, nie za dary i wysokie stanowiska, ale kochać za przeszłość pełną bohaterstw, za wycierpiane męczeństwa, za siłę i wiarę w „prawa wyższe". Nie dano tej młodzieży ducha historji Polski, nie nauczono kochać tradycji narodowej i słuchać obowiązku dla niej. Pozwolono po swojemu wywrócić wszystko na nice.

Straż sanitarną postawić od strony wyziewów i oparów, idących z bagniska sąsiedniego, w świadome ręce wziąć umysły i w miłujące serca dusze naszych dzieci, a niepotrzebne będą kratki sądowe, za które rumieniec wstydu występuje na czoło w Polsce Odrodzonej. *Ludwika Życka.*

OCENY Z RELIGJI

(D y s k u s j a)

Podniesiona przez nas kwestja ocen z religji wywołała głosy polemiczne, które niniejszem drukujemy. Głosy te jednak nie podają konkretnych projektów — a tylko konkretny projekt może mieć pozytywne znaczenie. Zwłaszcza chętniebyśmy widzieli ściślejsze sprecyzowanie poglądów p. Fr. Bendiga, zarysowanych zbyt mgliście.

KWALIFIKACJA CZY CHARAKTER

Pan J. C. poruszył w poprzednim numerze Paxu sprawę niezmiernej wagi, jaką jest dziś ocena z religji. Należałoby życzyć autorowi, aby dyskusja oparła się na głębokiem podłożu i przybrała wszechstronne oblicze... Pan J. C. pisze, że istniejące lekceważenie przedmiotu nauki religji woła o zrewidowanie stanowiska. Nie! Młodzież nie lekceważy nauki religji. Byłoby to pogardą dla własnych [illegible]. Należy posłu[illegible]dzie tematy, [illegible] pośrednio bądź bezpośrednio związane z religją. [illegible], jak młodzież rozwiązuje wątpliwości. Punkt ciężkości tu spoczywa na fakcie, że religja bardzo obchodzi dzisiejszą młodzież. Inaczej nie błąkanoby po labiryntach wiary. Powiedzmy raczej bez obsłonek, że młodzież jest jużto obojętnie jużto sceptycznie nastawiona wobec wytycznych czy nakazów religji, które jej głoszono... z ołówkiem i notesem w ręku.

Prawdą jest, że młodzież prawie zupełnie się nie uczy przedmiotów, objętych nazwą religji, a jeśli się uczy, jest to wyłączną zasługą katechety, jego metody czy wpływu osobistego. Wobec polskiego, matematyki spotykamy poważne ustosunkowanie, jako do nauki, a religja cofa się na dalszy plan, brak jej tego nastawienia. Boć młodzież instynktownie nie uważa religji za naukę, powiedzmy ściśle za naukę, jak polski, matematyka. I słusznie! A jednak szkoła i katecheta traktują religję, jak inne przedmioty, naukowe. Tu właśnie jest źródło tego dziwnego nastawienia młodzieży. Lecz także fałszywy jest stosunek szkoły i katechety wobec religji. Szkoła i katecheta są dla młodzieży oficjalnymi przedstawicielami tej i takiej religji, przedmiotu naukowego. I oto wytwarza się zgoła fałszywe oblicze zewnętrzne przedmiotu, wobec którego broni się poczucie młodzieży, przybierając odpowiednie nastawienie. A w konsekwencji, ponieważ faktyczna postać religji jest zupełnie odmienna, po obydwu stronach wytwarza się silne nieporozumienie i niezrozumienie.

Śmiem twierdzić, że szkoła stała się grobem prawdziwej nauki religji z chwilą, kiedy jej narzuciła swój szkolny charakter. Religja nie jest nauką, jak polski, matematyka. Czem jest, trudno określić, bo ona posiada w sobie coś specyficznego, a tak ważkiego dla całego życia we wszystkich jego przejawach, nietylko dla życia religijnego. Aby urobić sobie pojęcie, jaki winien być charakter nauki religji, musimy z niej zedrzeć szkolny posmak. Nauka religji przeszła do szkoły w ciągu wieku XVIII. Najstarszą i najwybitniejszą jej formą był katechumenat, t. j. zorganizowana chrześcijańska szkoła wychowawcza, „która miała za cel nieoświeconego we wierze człowieka we wierze oświecić, wypróbować i uczynić żywym członkiem Kościoła" (wg. Ks. Bielawskiego, Prof. Uniwers. J. K., Pedagogiki rel.-moral., Lwów, 1934). Ponadto wychowanie religijne ogniskowało się w życiu rodziny chrześcijańskiej — na zasadzie powszechnego kapłaństwa i w potężnem tętnie liturgji kościelnej — na zasadzie czynnego udziału. W wiekach średnich obowiązek uczenia religji spoczywał na rodzicach. Gdy się pojawiły zakony żebrzące, zaczęto dzieci katechizować w kościele. Troska o wychowanie i oświecenie religijne zawsze była żywa, owoce zależały już od samego nauczania.

Aby nauce religji przywrócić jej właściwe stanowisko, musimy nanowo odziać ją w jej własny charakter, starochrześcijański, tak odpowiedni dla naszych czasów, bo o podłożu wybitnie społecznem. Nauka religji w szkołach stanowczo musi się wyzuć ze swej „szkolnej" powłoki. A w konsekwencji zniknie kwalifikacyjny system piątek i czwórek, katecheta (nie prefekt!) odłoży ołówek i notes. Taka nauka religji zawiera w sobie coś mistycznego, coś, co określamy, jako „święte". Takiej atmosfery już nie możnaby mierzyć na stopnie. Po przywróceniu religji pierwotnego, czystego charakteru, powoli zacznie się wznosić poziom pojęć religijnych; nikt nie będzie porównywać „przedmiotu" z innemi naukami, które z nich poważniejsze, których nauczyciel winien posiadać wybitniejsze kwalifikacje.

Odpowiadam p. J. C.: nie zasada kwalifikacyjna jest jednem ze źródeł płytkości pojęć religijnych warstw wykształconych, ale stanowisko i spaczony charakter nauki religji. Skoro przywrócimy religji jej naturalny, starochrześcijański charakter i stanowisko, kwalifikacje same znikną, jako sprzeczne z nowem obliczem. Zniesienie czy tylko zmiana zasad kwalifikacyjnych absolutnie nie uzdrowi stanowiska. Jeśli reformować, to od najgłębszych podstaw. Nie wolno pływać po powierzchni.

Fr. Bendig.

LIST DO REDAKCJI

W dyskusji nad metodą oceny postępów z religji chciałbym zaznaczyć, że religja w szkole jest przedłużeniem Kościoła. Katecheta jest wysłannikiem Kościoła Chrystusowego z misją opowiadania Ewangelji i sposobienia do Sakramentów świętych. Ton godziny religji musi być pełen namaszczenia (co nie sprzeciwia się serdeczności i pewnej swobodzie), ze względu na swoje zadanie: opowiadania Dobrej Nowiny. Punkt ciężkości należy przenieść z kontroli na dawanie. Jeżeli chodzi o wykład i wychowanie religijne, jest to proces bardzo uciążliwy i skomplikowany i z pochwałą, lub naganą nie można śpieszyć.

Wracając do ocen, należy pamiętać o słowach Św. Augustyna: „a jeżeli słuchacz zanadto jest gnuśny i dla wszelkiej takiej delikatności niedostępny, należy mu okazać miłosierną wyrozumiałość i w krótkości przechodząc to, co najpotrzebniejsze, ...bardziej za nim do Boga, niż jemu o Bogu, wiele mówić" (De catech. rudib., XIII). Zresztą w wychowaniu zawsze należy uwzględniać warunki indywidualne. *Ks. Mgr. Józef Zawadzki.*

POD LUPĄ

A było to tak ...

Najpierw był „naród" u narodowców, a naprzeciwko nie było nic. Na podstawie horror vacui na miejscu nic ukazało się państwo. Potem u narodowców było państwo narodowe, a naprzeciwko państwo narodowościowe. A teraz naród i państwo razem. „Naród i Państwo". Numer 1-szy, rok 1-szy, luty 1936. (Niewiadomo tylko, czy koza do woza, czy wóz do kozy). W każdym razie nowe pismo w artykule inauguracyjnym wysuwa na czoło osobliwe czynniki życia państwowego. „Dla wygody dnia dzisiejszego nie możemy zamykać oczu na ewentualne pomniejszenie twórczych możliwości jutra. W twardym realizmie działań, nie możemy lekceważyć znaczenia czynników irracjonalnych". Te słowa brzmią jak nowa konstytucja. Nowaczyński powiedziałby, iż są tak słodkie i melodyjne, że dałyby się podłożyć pod muzykę. W numerze tym debiutuje niejaki Cyprjan Kamil Norwid, początkujący poeta. *w. r.*

Bez komentarza

Prasa donosi: Wilcza Góra — pagórek, położony między Będzinem a Dąbrową Górniczą — była przed paru dniami widownią tragicznej walki między bezrobotnymi z jednej a policją i funkcjonarjuszami tow. ochrony mienia — z drugiej strony.

Na Wilczej Górze znajduje się mnóstwo „biedaszybów", dających możność egzystencji kilkuset bezrobotnym. Nie było to oczywiście na rękę właścicielom tych terenów, towarzystwu francusko-włoskiemu, które postanowiło zlikwidować „biedaszyby".

Tow. ochrony mienia wysłało na Wilczą Górę kilkunastu uzbrojonych ludzi, zaopatrzonych w materjały wybuchowe, przeznaczone do zniszczenia szybów. Wśród krzątających się dokoła swych kopalni bezrobotnych — zawrzało. Przeciwko kolumnie niszczycielskiej stanęło w mgnieniu oka 500 ludzi uzbrojonych w łopaty, siekiery i kilofy. W formalnej bitwie, jaka się wywiązała, ulegli funkcjonarjusze tow. ochrony mienia. Trzech z nich ciężko rannych przewieziono do szpitala.

Nawet ukazanie się policjantów nie zaraz zdołało położyć kres walce. Jeden z policjantów został raniony, nim udało się aresztować kilku bezrobotnych.

Biedacy osiągnęli jednak swój cel: warsztat ich pracy został obroniony. Teraz wystawili na Wilczej Górze stałe posterunki, które mają zaalarmować bezrobotnych, gdy znów „bieda-szybom" będzie groziło niebezpieczeństwo.

REDAKTOR NACZELNY: ANTONI GOŁUBIEW. — REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: WITOLD RUDZIŃSKI. — WYDAWCA: WACŁAW TARASIEWICZ. — ADMINISTRATOR: MARJAN PRUBA

PRENUMERATA Z PRZESYŁKĄ W POLSCE: rocznie 4.80 zł., półrocznie 2.50 zł., kwartalnie 1.40 zł.; ZAGRANICĄ: rocznie 7.40., półrocznie 3.90 zł.. kwartalnie 2.40 zł.; w Ameryce i Chinach: rocznie 3.50 dol., półrocz. 2.— dol., kwart. 1.20 dol. — OGŁOSZENIA: 1/1 str. 500 zł., 1/2 str. 280 zł., 1/4 str. 150 zł., 1/8 str. 80 zł. Wiersz garmontowy 1 zł.

Redakcja i Administracja: Wilno, ul. Zamkowa 14—1. — Konto P. K. O. Nr. 144.229
Redakcja czynna w poniedziałki i środy od godz. 1-szej do 2-giej. Administracja czynna codziennie oprócz świąt od godz. 12-ej do 2-giej

Drukarnia Archidiecezjalna w Wilnie, Metropolitalna 1, telef. 14-49